

Łukasz Zabielski

Gloger, grantomania i ugory wiedzy zdigitalizowanej. Obserwacja zaangażowana

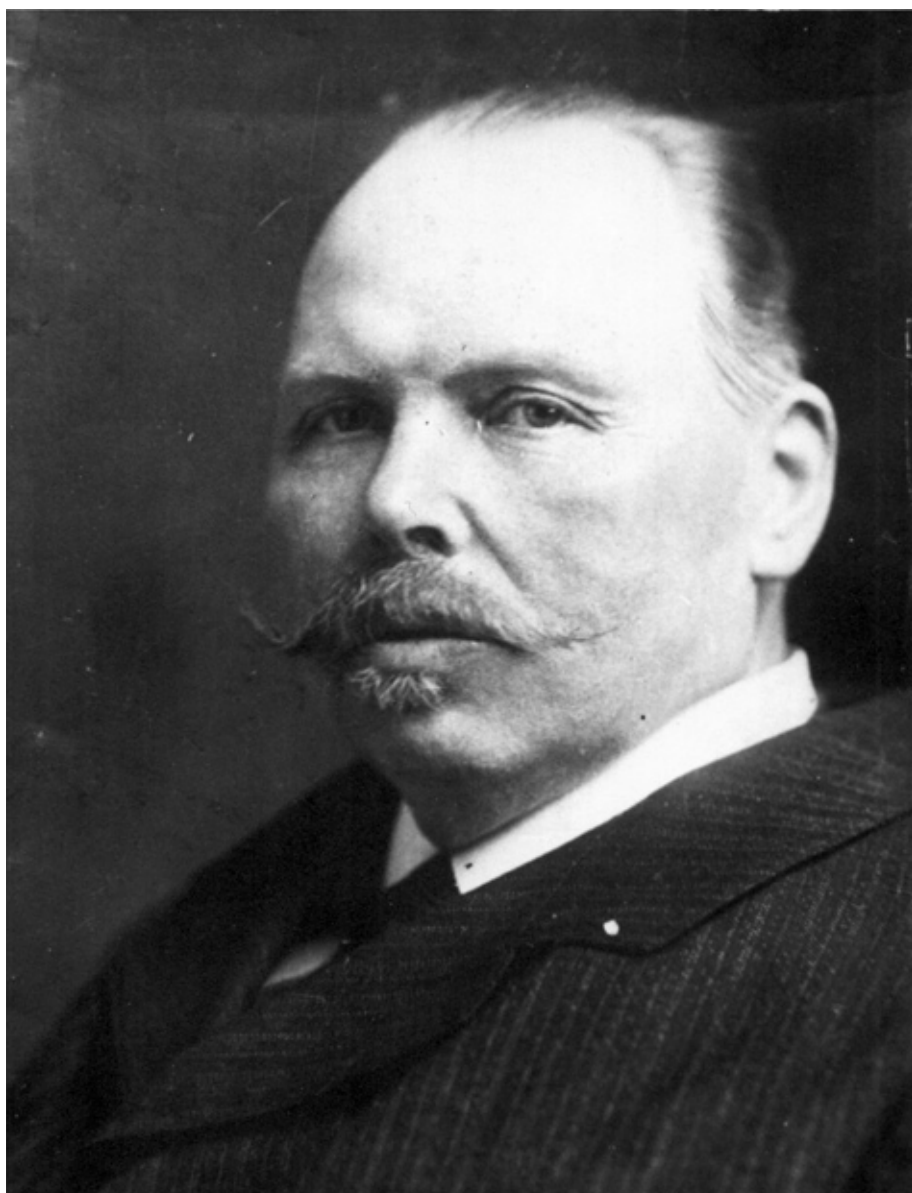
Gdy w 2016 roku składaliśmy wniosek do Narodowego Programu Rozwoju Humanistyki, wówczas bez szczęśliwego finału, jeden z dwóch oceniających go anonimowych recenzentów okazał się szczególnie surowy. Zadał nam on (artykułując opinię, używał męskosobowych końcówek czasownika) filozoficzne, z pozoru retoryczne, pytanie o sens wydawania w naukowym opracowaniu tekstów, które są dostępne w Internecie pod postacią skanu pierwodruków. Można z nich korzystać bez typowych obustrzeń towarzyszących lekturze „analogowych” treści, jedynym warunkiem jest dostęp do „usieciovanego” urządzenia elektronicznego. Dzisiaj funkcja ta cechuje nawet lodówkę i pralkę, co chyba najlepiej obnaża bezkres możliwości czerpania ze źródeł wiedzy cyfrowej. Do samej idei reedycji starych dzieł nie miał chyba Pan Recenzent zastrzeżeń, w wątpliwość podawał natomiast potrzebę przeznaczania w złotej erze bibliotek wirtualnych na taką działalność bodaj złotówki ze środków publicznych. Jakże się z tego typu spojrzeniem nie zgodzić,

skoro nawet uproszczona dedukcja – w ujęciu egalitarnym zwana „chłopskim rozumem” – podpowiada, że jeśli terytorialne, formalne i czasowe ograniczenia dostępu do określonego źródła wiedzy zostają zniesione, trudno w oświeconej części świata kultury o bardziej spektakularny sukces. Wszyscy więc potencjalni zainteresowani: naukowcy, bibliografowie, erudyci, studenci i entuzjaści-amatorzy literackich ciekawostek, nawet urzędnicy oraz wypełnione tabele milionów stron grantowych sprawozdań – winni być zadowoleni. I generalnie są. Przynajmniej, gdy mówimy o statystykach, ministerialnych wskaźnikach, czy też ogólnym modelu społecznej reakcji na określone usprawnienia w przepływie informacji.

Nie chcę, i nie taka jest intencja piszącego niniejsze słowa, oceniać i wartościować tendencji do budowania „filozofii” – czyli dzielenia się subiektywnymi przemyśleniami – jako elementu składowego „oceny eksperckiej”, tworzonej przy rozpatrywaniu naukowych wniosków grantowych. Doklejanie do sformalizowanej nowomowy kilku humorystycznych lub/i ironicznych spostrzeżeń natury osobistej jako narzędzia służącego podniesieniu poziomu dopaminy (i kortyzolu u ocenianego) we krwi jest

w pełni zrozumiałe i usprawiedliwione. Rola recenzenta przy tego typu konkursach jawi się wszak jako jedno z najbardziej niewdzięcznych zajęć, jakie można sobie wyobrazić. Nie wiąże się ona ani z prestiżem finansowym (choć to kryterium może być zmienne w zależności od organizatora), ani tym bardziej zawodowym – recenzje są anonimowe, nie wiadomo kto czyj wniosek oceniał. Odbiera to szansę minimalnego bodaj wzmocnienia „ego”, o co gorliwie zabiega się w świecie polskiej nauki, a więc tej części rzeczywistości, gdzie wynagrodzenie za pisarsko-badawczy trud wypłacane jest w punktach. Bez wyraźnego widoku marchewki na końcu kija, podjęcie mozolnego zadania wyboru garstki spośród setek uargumentowanych w mniej lub bardziej zmyślny sposób próśb (każda po kilkanaście/kilkadziesiąt stron A4!) o sfinansowanie przedkładanych projektów, rysuje się w kształtach oraz rozmiarach mitycznych dwunastu prac Heraklesa. Dlatego zapewne treści recenzji wyglądają tak, jak wyglądają. I kropka.

Faktem jest, że kolejne nasze podejście do tego samego konkursu zakończyło się pełnym sukcesem. I to właśnie konkretny przypadek drugiej edycji grantu, jaki obecnie (chodzi o lata 2018–2022) realizujemy w Książnicy Podlaskiej oraz



Zygmunt Gloger

fot. ze zbiorów prywatnych Liliany Gloger

co z tak cenionym współcześnie – przynajmniej na poziomie deklaratywnym i medialnym – duchem niepowtarzalności, indywidualności, regionalności? Co z efektami nieoczywistymi, powstającymi niejako „mimoходом” przy realizacji przedsięwzięć badawczych, a które to efekty w finalnym wydaniu prezentują się jako wartość nadbudowana i dla całego projektu najważniejsza?

Do rzeczy zatem. Książnica Podlaska realizuje drugi już z kolei grant naukowy, którego tytułową i centralną postacią jest Zygmunt Gloger. Człowiek to bez wątpienia wybitny, bardzo dla polskiej (a podlaskiej w szczególności) kultury zasłużony. Z tą po „szkolarsku” sformułowaną opinią zgodzi się statystyczny recenzent każdego chyba wniosku. Jednakże za pozyteczną i powszechnie docenianą działalnością naszego bohatera kryje się poważny kłopot, na który natknęliśmy się nie od razu. Wypływa on bezpośrednio ze wspomnianego przeze mnie, tak powszechnie dziś przyjętego, „wikipediowego”, a więc porządkującego i upraszczającego, postrzegania rzeczywistości, które nie akceptuje wszelkich bezkształtów, tajemnic, niedopowiedzeń. W przypadku grantu – kłopot ów objawia się ot choćby w prozaicznej niemożności jednoznacznej (zatem niesimplifikującej) klasyfikacji „zawodowej” Glogera. Chodzi o zaspokojenie tak zdawałoby się naturalnej potrzeby, przypisania człowiekowi „twardego” epitetu, określenia wskazującego (nam, nie jemu) jego miejsce w „pop świecie”: Jan Kochanowski – poeta, Fryderyk Chopin – kompozytor, Jacek Malczewski – malarz, Jan Paweł II – papież, Jan Kulczyk – biznesmen itd. Sprawa ta, tak na pozór błaha, w przypadku osoby, której teksty podlegają planom digitalizacji czy opracowania w naukowym wydaniu,

na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu w Białymstoku uzmysłowił nam, jak bardzo zwodnicze okazuje się patrzeć na świat poprzez wykute w logice soczewki racjonalizującego rzeczywistość eksperta-urzędnika i jak ważne jest, aby ostateczną decyzję odnośnie tego, które projekty kierować do realizacji, podejmował „człowiek z krwi i kości”, a nie wykazujący się choćby najwydajniejszy-

mi parametrami komputer. Najbardziej bowiem wyważony i przemyślany konstruktor ewaluacyjnego formularza może się okazać narzędziem kłopotliwym, wręcz przysłowiową kulą u nogi. Nie uwzględnia on wszakże niczego, prócz dającej się kategoryzować i katalogować rzeczywistości w jej jak najszerszym ujęciu, jej uogólnieniu, zatem i wyjąłowieniu z tożsamości. Warto więc zapytać:

może rzutować na jego dalsze „być albo nie być” w operacyjnych zasobach narodowej kultury.

Co ciekawe, problemem nie jest niedobór słów, a wręcz przeciwnie. Biografowie i badacze twórczości Glogera z upodobaniem mnożą i łączą przeróżne terminy: starożytnik (czyli, mówiąc w dużym uproszczeniu, historyk-amator), archeolog, publicysta, etnograf, krajoznawca, romantyczny pozytywista itd. Ma to cel oczywiście apologetyczny, podkreślający pracowitość, ambicję, szeroki wachlarz zainteresowań, jego omnikompetencję i polihistoryczność. Jeśli jednak z formalnej konieczności pojawiały się próby redukcji tej jego wielotwarzowej działalności do pojedynczego określenia: historyk, kolekcjoner, wydawca, pociągały one za sobą oskarżenia o nieprofesjonalizm. W oczach literaturoznawców nie był Gloger nigdy Wincentym Polem czy Józefem Ignacym Kraszewskim, historycy nie widzieli w nim Juliana Bartoszewicza, archeologowie Józefa Łepkowskiego, a folklorystom nie jawił się jako drugi Oskar Kolberg (*notabene*, wszystkich wymienionych znał osobiście, przyjaźnił się lub/i współpracował). Mówiąc inaczej: przedstawiciele zinstytucjonalizowanych dyscyplin akademickich nie rozumieją zasadności pełnoetatowego „zajęcia się” dorobkiem i myślą Zygmunta Glogera, nie widzą w nim bowiem „fachowca”, czyli człowieka upostaciowującego modelowy wzorzec znanego im świata. Po co zajmować się „nieprofesjonalnym” etnografem, jeśli cały legion profesjonalnych czeka na zbadanie? Logiczne. Z tego samego zresztą, jak się zdaje, powodu nasz bohater nie potrafił związać się na dłużej z jedną instytucją, ocierając się kolejno o mury siedzib Warszawskiej Szkoły Głównej, Uniwer-

(...) przedstawiciele
zinstytucjonalizowanych
dyscyplin akademickich
nie rozumieją
zasadności pełnoetatowego
„zajęcia się”
dorobkiem i myślą
Zygmunta
Glogera,
nie widzą w nim bowiem
„fachowca”, czyli
człowieka
upostaciowującego
modelowy wzorzec
znanego im świata.

sytetu Jagiellońskiego, Akademii Umiejętności w Krakowie, Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego itd. To bodaj najważniejsza wskazówka, która winna być brana pod uwagę przez autorów jego kolejnych biografii. O ile się tacy, rzecz naturalna, pojawią.

Ostrożność recenzentów przy wydaniu jednoznacznego werdyktu w kwestii sfinansowania naukowego projektu opracowania dorobku twórcy, którego nie

sposób określić jednym terminem, jest więc w pełni zrozumiała. Tym bardziej, że dostęp – za pośrednictwem platform *online* – do skanów wszystkich pierwodruków książek Glogera nie stanowi obecnie żadnego wyzwania. Pozostaje więc logować się i korzystać. Tu jednak dochodzimy do sedna problemu, mianowicie do kwestii zgrzytów pomiędzy trybem i formą udostępniania a tożsamością udostępnianych w wirtualnym świecie treści. Szczególnie mylące może się okazywać określenie „biblioteka cyfrowa”, które zdaje się sugerować, że desygnat tej nazwy ma cokolwiek wspólnego z biblioteką *sensu stricto*. Biblioteka jako biblioteka – zbyt to obszerny i złożony temat, aby go w tym miejscu potraktować inaczej niż w krzywdzącym uproszczeniu, za co przepraszam – ma za podstawowe zadanie działalność aktywizującą i kulturowo (re-)animującą społeczeństwo. Oczywiście, udostępnienie książki potencjalnemu zainteresowanemu czytelnikowi staje się narzędziem koronnym w całym pozostawionym do dyspozycji księżnicy repertuarze. Jednak „analogowym” odpowiednikiem „biblioteki cyfrowej” w jej działalności misyjnej byłaby nie przysłowiowa „osiedlowa wypożyczalnia książek”, lecz archiwum, a więc instytucja zajmująca się gromadzeniem, ochroną i udostępnianiem treści szczególnie dla kultury i nauki cennych. Oczywiście, obie instytucje w oczach szlifującego miejskie bruki spacerowicza wydają się bardzo do siebie zbliżone, jednak na spotkanie z pisarzem raczej do archiwum nie pójdziemy. Nie znaczy to, że archiwum nie może i nie prowadzi działalności kulturalnej, ale nie stanowi ona fundamentu statutowej jego osobowości.

W kontekście poruszanego tutaj tematu naukowych projektów jest to problem kluczowy. Każdy internauta, przeglądając „biblioteki cyfrowe” i zde-

ponowane w nich skarby pod kątem twórczości Glogera, znajdzie przede wszystkim dużą liczbę szczegółów związanych z kulturą, dziejami czy geografią historyczną dawnych ziem Rzeczypospolitej Polskiej. Bo tym się generalnie Gloger zajmował: dbał o dziedzictwo materialne, intelektualne i duchowe kraju, za którego obywatela – wbrew politycznym realiom, w jakich przyszło mu funkcjonować – się uważał. Czy jednak wspomniany internauta zawsze, za każdym razem i w każdych okolicznościach wybierze to właśnie konkretne źródło informacji? O ile zasób zdigitalizowanej wiedzy będzie systematycznie przyrastał – zapewne nie. Znajdą się przecież inne podręczniki i książki, encyklopedie i słowniki, które określone zjawisko/zagadnienie oświetlą w sposób bardziej atrakcyjny, sprecyzowany, dostosowany do zmieniających się czasów i oczekiwań odbiorców. Zdigitalizowane pierwodruki książek Glogera (ale przecież nie tylko, to problem szerszy, dotyczący wielu innych badaczy, pisarzy, twórców, artystów itd.), odzwierciedlające i poświadczające tytaniczny trud owego dziewiętnastowiecznego działacza na rzecz polskiej kultury, zmienia swój status z podręcznego składu niedostępnej nigdzie indziej wiedzy w spróchniałą już nieco, antykwaryczną ciekawostkę. Same w sobie nie prezentują wszak one żadnej pragmatycznej wartości.

Co ciekawe, z problemem o zaskakująco podobnym charakterze spotkał się sam Gloger. Oczywiście, nie chodziło o cyfrowe przetwarzanie danych, ale o „uwiecznianie” i udostępnianie śladów narodowego dziedzictwa. Jakkolwiek szeroko nie ujmować różnorodności jego zainteresowań, wyrósł nasz bohater na aktywności natury kolekcjonersko-zbierackiej. Od najmłodszych, szkolnych

Materia jest zbyt krucha,
zbyt podatna
na szkodliwą działalność
destrukcyjnych sił historii.
Podobnie kultura oralna:
uwieczniona w formie
zadrukowanych
kartek papieru traci swą tożsamość,
staje się jedną z miliona
dostępnych szerszej
publiczności ciekawostek, (...)
a nie tym, czym była oryginalnie,
czyli atomem rwącego
nurtu życia określonej
społeczności.

lat skrupulatnie gromadził zarówno produkty materialnej (dokumenty, monety, przedmioty zabytkowe), jak i intelektualnej działalności człowieka (pieśni, powiastki, przysłowia itd. – słowem: ślady tradycji oralnej). Motywujący go entuzjazm i wiara w sens takiej właśnie, „ocalającej” aktywności, uległy w pewnym momencie życia zagadkowemu załamaniu. Zaczął się mianowicie Gloger zastanawiać, jak rozumieć w ogóle coś,

co powszechnie nazywamy „tradycją”. A to dlatego, że spotkały go liczne – mówiąc delikatnie – przeszkody (konfiskata antycznych monet, brak wydawcy i sponsora dla druku książek, kończące się miejsce do przetrzymywania mnożących się zbiorów, niemożność znalezienia współpracowników itd.). Owe przeszkody utwierdziły go w przekonaniu, że zabytek sam w sobie nie jest czymś, co można uznać za fundament tożsamości człowieka, za pierwiastek, który umacnia jego zakorzenienie w bardzo konkretnej przestrzeni kulturowej i geograficznej. Materia jest zbyt krucha, zbyt podatna na szkodliwą działalność destrukcyjnych sił historii. Podobnie kultura oralna: uwieczniona w formie zadrukowanych kartek papieru traci swą tożsamość, staje się jedną z miliona dostępnych szerszej publiczności ciekawostek, muzealnym eksponatem, laboratoryjnym obiektem badań, a nie tym, czym była oryginalnie, czyli atomem rwącego nurtu życia określonej społeczności. By dać przykład: czym z pragmatycznego punktu widzenia mogła się okazać szesnastowieczna pieśń polskiego ludu dla dziewiętnastowiecznego entuzjasty kultury popularnej i wyznawcy idei wiecznego postępu? Otóż dokładnie tym samym, czym dzisiaj jest wiersz Mickiewicza dla statystycznego obywatela „światów cyfrowych”. Wyrwanie z zapomnienia, przechowywanie i upowszechnianie fragmentów zamierającej przeszłości miało sens o tyle, o ile były one aplikowane do codziennego życia, o ile mogły owe fragmenty stanowić przedmiot/obiekt myśli, emocji, zachowań, wysiłków itd. Tekst pieśni, choćby zapisano go na najnowocześniejszym cyfrowym nośniku, pozwalającym na jego badanie i przetwarzanie w najbardziej zmyślny sposób – nie ma sam w sobie większej wartości. Jest to, jak

Gloger sam by określił, „martwe ciało bez duszy”. Użyta przeze mnie tutaj jako przykład pieśń ludowa powstała bowiem nie po to, aby przetrwała jako relikw, lecz aby mogła wypełniać serca i umysły ludzi kolejnych epok. W ten sposób można mówić o wspólnocie kulturowej, tożsamościowej, a więc wartości wiecznej, przekraczającej czas i przestrzeń, co w zatrwającym stopniu kontrastuje z obserwowaną przez Glogera (dziś rozrośniętą do niebotycznych rozmiarów), niczym bluszcz oplatającą kulturę przygodnością, krótkotrwałością, natychmiastowością.

Samo w sobie i samo dla siebie zbieranie folkloru, dokumentów, przedmiotów wykopanych w ziemi – ich opisywanie, zabezpieczanie, udostępnianie – szybko przestało Glogera interesować. Nie chodzi o to, że nie chciał dbać o narodowe dziedzictwo, lecz zaczął się zastanawiać nad głębszym, nieoczywistym sensem tego typu aktywności. Nie negocjował, rzecz jasna, potrzeby prowadzenia „profesjonalnych” badań naukowych czy działań o charakterze kolekcjonerskim, zbyt był na nie wrażliwy i zbyt świadomy ich niezaprzeczalnej wartości. Zaczął jednakże poszukiwać odpowiedniej dla siebie, indywidualnej formy pracy na polu kultury i nauki. Dlatego nie potrafił się odnaleźć jako zawodowy (czyli świadomie stosujący rozbudowany aparat badawczy, realizujący narzucony program działania) etnolog, archeolog czy historyk „na pełen etat”. Skupił się na sposobach wpływu na codzienność swego bliższego i dalszego otoczenia. Na przykład podjął się prób reanimowania dawnych zwyczajów. Polegało to między innymi na zachęcaniu wiejskiej młodzieży do wznowienia porzuconych już wówczas praktyk związanych z obchodami określonych świąt czy uroczystości. Tworzył też podręczniki

(...) widocznym i namacalnym
owocem naszych grantów
są wydane tomy. Ale tak
naprawdę chodziło
i wciąż chodzi o coś
znacznie ambitniejszego,
o inicjowanie – i zachęcanie
do podejmowania w szerszej
skali i większych grupach –
akcji przywracania
określonych tekstów kultury
do głównego nurtu
edukacyjnego, naukowego
i popularnego
obiegu informacji.

do nauki czytania, które zawierały teksty folkloru (a więc treści swojskie, rodzime, a nie obce kulturze ludowej). Nie robił tego wszystkiego po to jednak, aby „cofnąć” bieg dziejów, przywrócić „stare i dobre” czasy, ale aby wzmocnić anemiczną w jego opinii kulturę współczesną. Chodziło mu więc o to, aby za pośrednictwem środków, które mieli do dyspozycji przodkowie, ożywić teraźniejszość i kształtować przyszłość.

Jaką namacalną wartość ma więc dla całego społeczeństwa polskiego – w świecie marzenia, którym kierował się w swej działalności Gloger – digitalizowanie i udostępnianie w bibliotekach cyfrowych jego tekstów? Niewielką. Dla badacza historii czy literatury będą to materiały archiwalne, obiekty analiz. W przypadku każdej postronnej osoby tego typu teksty stanowią kolejną ciekawostkę natury historycznej. Nie twierdzę, i pragnę to z całą stanowczością podkreślić, że idea digitalizacji, ułatwiania dostępu do źródeł archiwalnych jest niepotrzebna. Wręcz przeciwnie. Nie powinniśmy jej jednak traktować jako szczęśliwego finału prac nad rzekomym „ocalaniem” czegośkolwiek, ponieważ dostępne w Internecie skany nie są nawet „półproduktem”. Stanowią one jedynie punkt wyjścia do podejmowania pracy naukowej, edukacyjnej, wydawniczej itp. Fakt umieszczenia czegośkolwiek na cyfrowej platformie (repozytorium) nie gwarantuje, że potencjalny badacz, student, naukowiec czy grupa animatorów kulturalnych się tym czymś zainteresuje i skorzysta. Dlatego za podstawowe zadanie w planowanym projekcie, artykułowaliśmy to w każdym składanym wniosku, nie obieraliśmy nigdy samego udostępniania jakiegoś tekstu źródłowego. Owszem, widocznym i namacalnym owocem naszych grantów są wydane tomy. Ale tak naprawdę chodziło i wciąż chodzi o coś znacznie ambitniejszego, o inicjowanie – i zachęcanie do podejmowania w szerszej skali i większych grupach – akcji przywracania określonych tekstów kultury do głównego nurtu edukacyjnego, naukowego i popularnego obiegu informacji. Mówię tutaj o realizowaniu działań (a nie pasywnym drukowaniu: konferencji, seminariów, spotkań promocyjnych, wykładów, lekcji, szkoleń

itd. Lawinowo wzrastająca ostatnimi laty liczba obronionych prac magisterskich czy doktorskich, artykułów naukowych i książek, w których dorobek Glogera stanowi punkt centralny, jest chyba najlepszym ukonkretnieniem kierującej nami od samego początku idei. Idei, dodam raz jeszcze, która bezpośrednio wypływa z marzeń autora *Encyklopedii staropolskiej* o kształtowaniu rzeczywistości, zatem czymś dalekim pustemu mnożeniu woluminów na bibliotecznych półkach czy zapelnianiu nośników cyfrowych danych.

Pierwsza edycja grantu, który realizowaliśmy w Książnicy Podlaskiej, zakończyła się wydaniem trzech obszernych tomów z publicystyką Zygmunta Glogera. Finałem edycji obecnej będzie aż siedem woluminów, w których znajdą się jego teksty etnograficzne, polemiczne, rozprawy i eseje, a także korespondencja i materiały graficzne (szkice, rysunki, obrazy). Jednak prawdziwa wartość całego przedsięwzięcia tkwi w czymś mniej uchwytnym, w czymś, co trudno uwzględnić w statystykach czy ukazać w formie wykresów. Udało się nam bowiem zintegrować dwie duże instytucje naukowe: Uniwersytet

w Białymstoku (Wydziały Filologiczny oraz Historyczny) i Książnicę Podlaską, podjąć współpracę z takimi instytucjami jak Polska Akademia Umiejętności, Muzeum Podlaskie, Muzeum w Tykocinie, Uniwersytet Medyczny, Politechnika Białostocka i wiele innych. Zorganizowaliśmy dwie międzynarodowe konferencje naukowe poświęcone twórczości i działalności Glogera, na które przybyli nie tylko przedstawiciele tak skrajnie różnych dyscyplin jak muzykologia, archeologia, historia sztuki, politologia, literaturoznawstwo, ale też ośrodków zagranicznych od Szwajcarii czy Austrii, po Litwę, Ukrainę i Białoruś. Zaktywizowaliśmy (i żywię nadzieję: zintegrowaliśmy) potomków Zygmunta Glogera, także różnej maści entuzjastów dzieł starożytnika z Jeżewa, amatorów jego twórczości i osoby z różnych innych względów zainteresowane jego niezwykłą biografią. Wymieniam te fakty nie po to, aby się pochwalić, a wręcz przeciwnie, aby pokazać pokorę i uzmysłwić, jak wielką charyzmę miał Gloger, skoro działa ona również dzisiaj, po tylu latach, które upłynęły od jego śmierci.

Szczegóły na temat realizowanego grantu znajdują się na stronie internetowej: ksiaznica-podlaska.pl/dzialalnosc-naukowa/projekty-naukowe/

Programy obu konferencji:

2015: wschodzachod.uwb.edu.pl/wp-content/uploads/2015/10/program_konf_gloger.pdf

2019: ksiaznicapodlaska.pl/wp-content/uploads/2019/11/Naukowe-i-literackie-%C5%9Bwiaty-Zygmunta-Glogera-program.pdf

ŁUKASZ ZABIELSKI



– doktor nauk humanistycznych, literaturoznawca i historyk, edytor dziewiętnastowiecznych tekstów źródłowych (polskich przekładów *Fausta* A.E.F. Klingemanna, *Myśli nocnych* E. Younga). Od 2016 roku kieruje Działem Naukowym Książnicy Podlaskiej im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku. Redaktor naczelny „Bibliotekarza Podlaskiego”. Jego zainteresowania badawcze obejmują historię i literaturę polską XIX wieku, ze szczególnym uwzględnieniem oświece-

niowo-romantycznego przełomu kulturalnego, jak również działalności młodych pozytywistów warszawskich i twórczości Zygmunta Glogera. Autor książek: *Mean-dry antyromantyczności. Kajetan Koźmian i romantycy polscy* (Kraków 2015) i *Kajetan Koźmian spoza kanonu. Studia i szkice historycznoliterackie* (Białystok 2018) oraz licznych studiów z zakresu literaturoznawstwa, współredaktor kilku książek naukowych.

fot. Bogumiła Maleszewska-Oksztol